

gazel owina

Nr 5(13)/2012

ISSN 2084-6932



GAZETOWNIA

Wydawca

Pistacja Media Katarzyna Bogucka

biuro@pistacjatv.com

www.pistacjatv.com

Zespół Redakcyjny

Katarzyna Bogucka

Joanna Dudek-Ławecka

Jolanta Wroczyńska

Foto

Joanna Dudek-Ławecka

Joanna Wroczyńska

Robert Lewandowski

Ilustracje

(wiedźma)

Paweł Siwochowicz

(Pingwin)

Aleksander Bogucki

Opracowanie graficzne i skład

Agnieszka Maślanka

Współpraca techniczna

Agnieszka Betkier

Biuro reklamy

Sylwia Morawska

tel.kom.668 895 636

Wydawnictwo zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w piśmie Gazetownia bez zgody Wydawcy jest zabronione na podstawie art. 25 ust.1 pkt 1b prawa autorskiego.

Copyright© Pistacja Media 2012

Spis treści

004. OD REDAKTORA Jolanta Wroczyńska

005. SKRZYŃKA

006. DROGOWSKAZY *Poczuć ducha Andriollego* Carol Wolff

014. BEZ KRESY *Palma, Rękawka i inne ...* Joanna Dudek-Ławecka

022. NA PAPIERZE *Brama* Kasia Bartsch-Cielebon

026-031. OD CZAPY

Wolność Tamara Kuświk

Odbija nam palma, czyli ... Karolina Dyja

032. PIRUETY WOKÓŁ SŁOŃCA Joanna Wroczyńska

034. POWIEŚĆ W ODCINKACH cz VII *Wiedźma* Kasia Bartsch-Cielebon

039. ŻAK *Podróże* Paweł Radźko

040. SPOSTRZEŻENIA *Facebook atakuje* Katarzyna Drzazgowska

044. DIALOGI FILMOWE *Instynkt* Joanna Fedorczyk, Agata Mianowska

046. SZORT MAT *Panie, a „po czemu” ten kosmos?* Paweł Maksym

049. BAJKI NOWE *To jest sztuka* Katarzyna Bogucka

Od redaktora



Palma odbija na wiosnę, proste, bo lubi słońce. Czytelnictwo internetowe kwitnie, bo nam na wiosnę też odbiło – odnotowaliśmy wzrost zainteresowania „Gazetownią”, więc zapraszamy.

W numerze palmowym i na poważnie i nie za bardzo. Wraz z pierwszą wiosenną pełnią księżyca nadeszły święta wielkanocne, zatem w Bezkresach przeczytamy o tradycjach rodzimych, które nie tylko wiążą się z palmą. W wędrówkach po Kosmosie palma pierwszeństwa należy się nie wiedzieć czemu człowiekowi, aby to zrozumieć, przeczytajcie Szortmat. O wizjonerstwie architekta nadświdrzańskiego opowiada w Drogowskazach Robert Lewandowski, inicjator powstania Muzeum i Fundacji im. Elwiro Michała Andriollego.

Pod warszawską palmą dziewczyny prowadzą Dialogi filmowe na temat nagich instynktów. Piruety pojechały do Poznania oglądać łabędzie, a Żak zamiast wycieczki do Palmy na Majorce proponuje ćwiczenia z wyobraźni w zielonogórskiej palmiarni. Karolina nie Od czapy szuka porządku we współczesnym świecie. Podjęte Na papierze trzy próby sforsowania oporu starszej pani kończą się leżakowaniem palmy na świeżym powietrzu. Z okrzykiem wybrałam wolność biega wyzwolona zakupoholiczka, zaś Kasia preferuje używanie myślenia w obronie przed atakującym Facebookiem. A ja lubię to i polecam znajomym. Miłej lektury.

JW.

Za wszystkie
głupstwa królów
płacą ich narody.
Horacy

Każdy z nas nosi dwie sakwy,
Jedną z przodu, drugą z tyłu.
Do tej z przodu składamy błędy innych,
Do tej z tyłu nasze własne
i dlatego ich nie widzimy.

Ezop

Wytrwaj i opanuj się!
Epiktet

Naprzód spojrzysz, z kim
jesz i pijesz,
a dopiero potem, co
jesz i pijesz.
Epikur

TWOJĄ MYŚL PRZEKAŻEMY INNYM...



Poczuć ducha Andriollego

*Carol Wolff rozmawia
z **Robertem Lewandowskim**,
jednym z głównych popularyzatorów
nurtu architektury nadświdrzańskiej,
autorem i redaktorem licznych
publikacji jej dotyczących, inicjatorem
powstania Muzeum i Fundacji
im. Elwiro Michała Andriollego.
Rozmowa o historii, architekturze
i działalności na rzecz promowania
lokalnych zabytków.*



W 1880 r. Elwiro Michał Andriolli, wybitny polski rysownik o włoskich korzeniach zakupił ziemię rozciągającą się po obu brzegach rzeki Świder. Wybudował tam nie tylko dom własny, ale też domy letniskowe pod wynajem, których architektura szybko została powielona w rejonie. Na stronie Muzeum Andriollego nazywa Pan artystę epigonem romantyzmu i prekursorem pozytywizmu. Czy nie był też trochę inwestorem-wizjonerem? Co Pana zdaniem zdecydowało o sukcesie stylu zapoczątkowanego przez Elwiro Michała? Co spowodowało, że znalazł on tylu naśladowców?

Tak, Elwiro Michał Andriolli (1836-1893) miał wizję osady letniskowej, którą realizował w latach 1880-1893 jako właściciel obu brzegów rzeki Świder. W tym zakresie możemy powiedzieć, że był wizjonerem. Jego plany, wizje opierały się na niepowtarzalności miejsca jakim była dolina Świdra i sosnowe lasy. Zalety te zostały docenione przez późniejszych właścicieli „letnich mieszkań”, o czym pisali m.in. Edmund Diehl (*Wille w Otwocku*) oraz przyjaciel artysty Henryk Dobrzycki (*Andriolli w sztuce i w życiu społecznym.*)

Moim zdaniem Andriolli, budując drewniane domy dla siebie oraz te przeznaczone na wynajem dla letników, nie myślał o stylu. Był sobą i to co zaplanował wykonał z wielkim zaangażowaniem, z wykorzystaniem posiadanych talentów i wiedzy. Zapoczątkowana przez niego nadświdrzańska architektura nie miała ustalonych kanonów. Domki Andriollego były położone swobodnie wśród sosnowego lasu, w pobliżu rzeki, posiadały obszerne werandy, które również podczas niepogody pozwalały cieszyć się urokami otaczającej przyrody. Naśladowcy Andriollego docenili walory przyrodnicze zauważone przez artystę, a warszawscy „latownicy” coraz liczniej odwiedzali wille położone nad Świdrem. Jak podają wspomniane teksty źródłowe miejscowi włościanie, widząc sukces Andriollego chętnie latem wynajmowali swoje izby gościom przybywającym z Warszawy.

Nazw jest wiele: andriollówki, architektura Andriollowskich Brzegów, styl nadświdrzański, świdermajer, styl otwocki, drewniana architektura letniskowa linii otwockiej. Którą nazwę Pan preferuje i dlaczego?

Podane przez Panią określenia – dla mnie – posiadają różne znaczenia i różnią się szczegółami. Powinniśmy pamiętać o tym, że w czasach kiedy powstawały pierwsze domy Andriollego miasta Otwock jeszcze nie było. Jeśli rozmawiamy

o architekturze, to preferuję nazwę – architektura nadświdrzańska. Jeśli rozmawiamy o Andriolli, to proponuję nazwę dworki Andriollego, andriollówki. Celowo pomijam określenie – styl, ponieważ wg mnie oprócz opisu Anny Radomskiej, nie został on w literaturze przedmiotu wystarczająco zdefiniowany. Nie zmienia to faktu, iż zapoczątkowana przez Andriollego nadświdrzańska architektura – nazywana stylem nadświdrzańskim, stylem otwockim, stylem „świdermajer” – jest znana jako „świdermajer”. W dzisiejszych czasach określenie „świdermajer” jest bardzo popularne, chociaż może nie wszyscy o tym wiedzą, że początkowo miało ono inne konotacje.

**Czy żeby zrozumieć fenomen „świdermajerów” trzeba tu zamieszkać?
Czy ruch propagujący architekturę drewnianą Otwocka ma swoich
zwolenników również w innych zakątkach Polski?**

Nie trzeba tu zamieszkać, aby zrozumieć fenomen „świdermajerów”. Trochę ogólnej wiedzy historycznej, trochę poszanowania dla tradycji, trochę wyobraźni i możemy poczuć ducha miejsca – *genius loci*. Przykładem może być architekt Marek Przepiórka, prowadzący portal www.geniusloci.co, który zafascynował się nadświdrzańską architekturą mieszkając wcześniej w zupełnie innym miejscu.

**Poza Fundacją i Muzeum powołał Pan do życia także portale internetowe,
jak i grupę „ŚwiderMania” na Facebooku. Dlaczego ważna jest dla Pana
praca na rzecz promowania lokalnych zabytków?**

Staram się robić to, co jest ważne. Staram się szukać takich możliwości działania, dzięki którym ważne cele stają się osiągalne. Historia i architektura to od lat moje hobby. W 2004 r. pojawił się ważny impuls – praca konkursowa córki, która sprawiła, że ponownie zainteresowałem się drewnianą architekturą. Wiosną 2005 r. uruchomiłem portal www.swidermajer.pl, następnie www.andriolli.pl, a od 2009 r. wydajemy biuletyn „Andriollówka”.

Wiosną 2008 r. Stowarzyszenie Miłośników Drewnianej Architektury Linii Otwockiej z Józefowa we współpracy ze



Stowarzyszeniem Artystów i Przyjaciół Kultury Otwockiej z Otwocka oraz z Towarzystwem Miłośników Falenicy zorganizowały w Otwocku dwudniową sesję pt. „Świdermajer, domy z duszą... i co dalej?” Relacje z tych wydarzeń zostały udokumentowane m.in. w postaci sprawozdań i dwóch filmów dokumentalnych z własnymi numerami ISBN. Uważam, że wypracowane współistnienie wydawnictwa, fundacji i muzeum stwarza optymalne możliwości działania i promowania lokalnej historii i architektury.

Przykładem może być przygotowywany do druku pod redakcją Roberta Bellera pierwszy tom bibliografii Andriollego.

Czy działalność uwzględnia też projekty edukacyjne, w tym te dotyczące dzieci i młodzieży?

Tak. Uważam, że szczególne zasługi w tym względzie w powiecie otwockim posiada Grupa ŚwiderMania, a w powiecie mińskim – PTTK Mińsk Mazowiecki, realizujący projekt Ziemia Andriollego. Informacje o pozostałych projektach pojawią się wkrótce na przebudowanej stronie www.swidermajer.pl.

Czy mógłby Pan opowiedzieć o festiwalu Otwarte Ogrody współorganizowanym przez Miejski Ośrodek Kultury w Józefowie?

W tym roku Festiwal Otwarte Ogrody odbędzie się w Józefowie w dniach 26-27 maja.

Dnia 26 maja u państwa Małgorzaty i Janusza Korwin-Mikke przy ul. 3 Maja nr 100 będziemy mogli poznać historię „Willi Benkówka” oraz ponad 100-letnią letniskową tradycję Józefowa, a ponadto tego samego dnia przy ul. Piotra Skargi

nr 10a zobaczymy dwa obecnie wykańczane budynki jednorodzinne, które swoim wyglądem nawiązują do nadświderzańskej architektury znanej jako „świdermajer”. Miejsce jest szczególne, ponieważ oprócz rozmowy z projektantami z Pracowni Architektonicznej Marka Przepiórki będziemy mieli



okazję porównać i przeanalizować różne etapy budowy dwóch współczesnych „świdermajerów”. Partnerem ogrodu jest portal www.geniusloci.co, popularyzujący praktyczną wiedzę na temat budowy współczesnych domów w stylu „świdermajer”.

Również w sobotę (przy ul. Sosnowej nr 15 w centrum Józefowa) będziemy mogli zobaczyć stolarnię – firmę „Świdermajer” Henryka Jesiotra, w której niejeden stary drewniany budynek odzyskał dawny blask. Rodzina Jesiotrów od czterech pokoleń zajmuje się ciesielstwem, stolarstwem i snycerstwem. Obecnie w rozbudowanym warsztacie oprócz drewnianych elementów przeznaczonych do renowacji starych budynków wykonuje się m.in. tradycyjne drewniane detale architektoniczne.

Kim są dzisiejsi właściciele „świdermajerów”? Pasjonatami czy przypadkowymi osobami?

Właścicielami „świdermajerów” są osoby o różnej majętności. Myślę, że wspólną cechą dla tych osób jest fakt, że w letniskowej architekturze linii otwockiej – tej starej lub w tej współcześnie budowanej – odkryli pewną „oryginalność miejsca”, poczuli *genius loci*. Wielu prywatnych właścicieli pieczętowanie dba o swoje stare drewniane budynki. Również gminy zajmują się konserwacją wybranych obiektów.

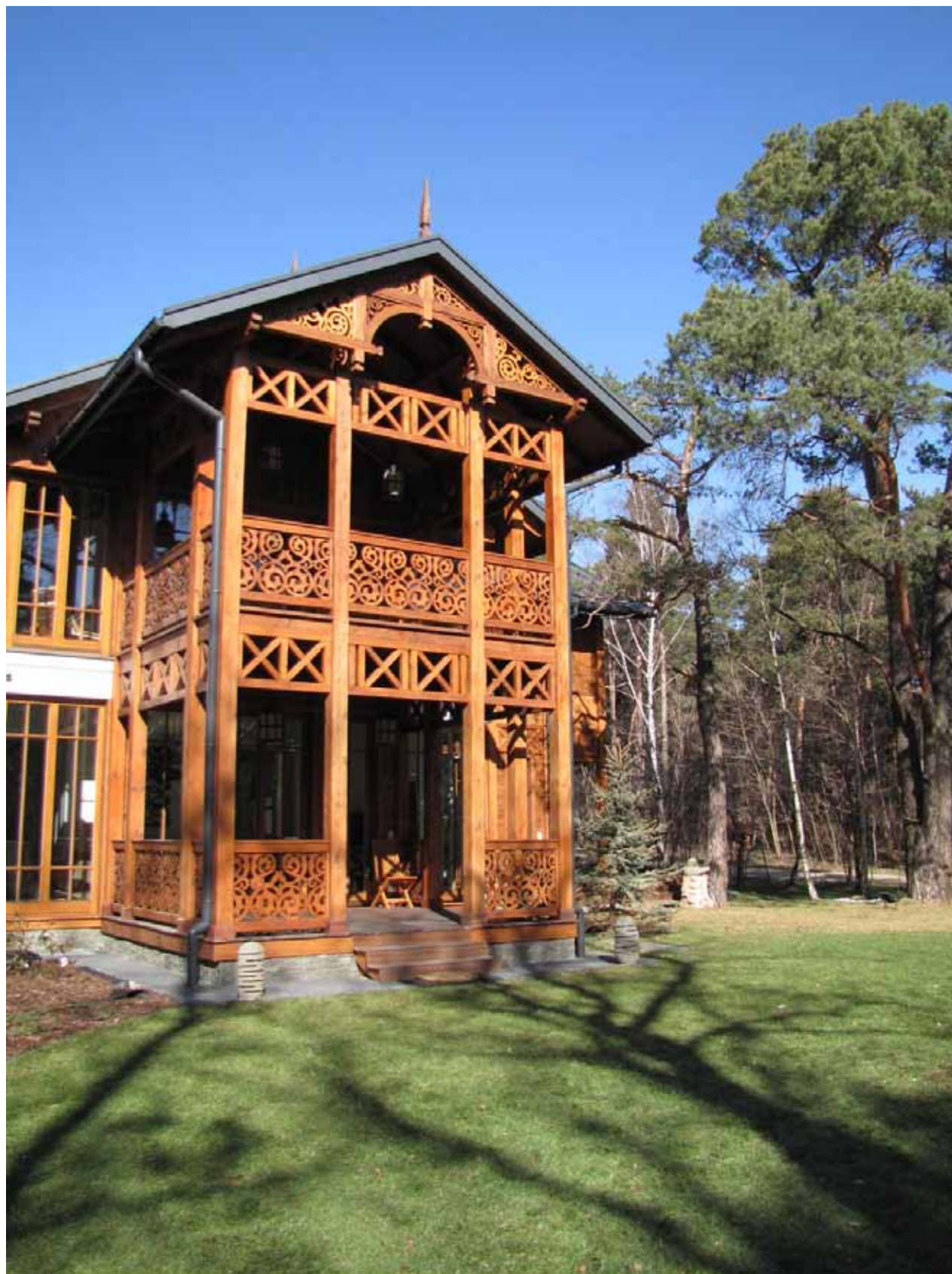
Rok Andriollego (2011) już za nami. Jakie są plany jego miłośników na następne lata? Jakimi kanałami chcą Państwo popularyzować styl architektury nadświdrzańskiej?

Realizacja projektów „Rok Andriollego na Mazowszu” oraz „Kronenberg, Andriolli i wilegiatura, czyli podwarszawskie letniska linii otwockiej” pozwoliły poznać wspaniałych ludzi w kraju i zagranicą. Wszystkim osobom i instytucjom merytorycznie zaangażowanym w realizację wspomnianych projektów chciałbym przesłać serdeczne podziękowania.

Dotychczasowa współpraca Fundacji Andriollego przede wszystkim z Fundacją Kronenberga, Muzeum Ziemi Mińskiej oraz z PTTK Mińsk Mazowiecki już w tej chwili generuje nowe projekty. Miłośnikom historii i architektury linii otwockiej polecam dwie książki Wydawnictwa Świdermajer: *Twórcy stylu świdermajer*, 2012, wyd. II zmienione; oraz *Kronenberg, Andriolli i wilegiatura, czyli podwarszawskie letniska linii otwockiej*, 2012, wyd. II.

Dziękuję bardzo za rozmowę.

CW





Palma, Rękawka i inne zwyczaje wielkanocne z okolic Krakowa

Joanna Dudek-Ławecka

Jak donoszą nieubłagane statystyki, z roku na rok rośnie liczba Polaków wybierających w miejsce tradycyjnych świąt Bożego Narodzenia czy Wielkanocy wypoczynek pod przysłowiową palmą. Mnie póki co nie przekonują roztaczane przez biura podróży wizje

leżenia na plaży pod tym tropikalnym drzewem i popijania drinków o fantazyjnych nazwach. Pozostaję tradycjonalistką i na razie wybieram polską palmę, którą koniecznie trzeba poświęcić w Niedzielę Palmową i święta spędzone wśród rodziny i przyjaciół przy jak zwykle, nawet

w czasach kryzysu, nadmiernie zaopatrzonych stołach.

Cudze chwalicie, swego nie znacie ... bardzo wyświechtane powiedzenie, niestety niezmiennie pasuje do nas Polaków. Przyjmując bezkrytycznie i bez jakiegokolwiek refleksji obce nam tradycje, nie umiemy wykorzystać naszych własnych, wypromować ich, że użyję modnego słowa, w świecie. Nie tylko nie przebijamy się z informacją o nich do świadomości obcokrajowców, ale nawet do własnej świadomości, choć wcale nie są mniej widowiskowe, zabawne czy kolorowe.

Przy okazji niedawnych świąt Wielkiej Nocy warto przywołać kilka przykładów bogactwa tradycji, jakim Polska dysponuje i które poza religijnym charakterem, oczywistym przynajmniej dla części naszego społeczeństwa, mogą zdecydować o atrakcyjności naszego kraju i chęci spędzenia świąt właśnie tutaj.

Zacznijmy od tytułowej palmy. Rozpoczynająca Wielki Tydzień Niedziela Palmowa obchodzona jest w Polsce od średniowiecza. W ciągu tak długiego czasu narosło wokół tego dnia wiele zwyczajów, pojawiły się związane z palmą, czasami wręcz zabobonne, wierzenia i rytuały. Znany

większości, najbardziej popularny jest zwyczaj święcenia palm – symbolu odradzającego się życia. Mniej osób, zwłaszcza mieszkańców miast, pamięta, że w Polsce, która do obecnych czasów była krajem z przewagą ludności rolniczej palma spełniała ważne zadania w gospodarstwie. Zapewniała urodzaj, chronić miała domowe zwierzęta przed chorobami, a obojęcie przed niszczycielską siłą pioruna. Z palm wyrabiane były krzyżyki, które zatykane w ziemię, miały zapewnić wysokie plony, chronić pola przed zawirowaniami pogodowymi, burzami czy gradem. Poświęcona palma broniła przez wszelkim złem, należało więc nią pokropić rodzinę, by zapewnić jej zdrowie, a gdy nie daj Boże pojawiły się choroby, np. ból gardła czy głowy, *remedium* na te bolączki było połknięcie bazi z palmy. Im wyższa palma, tym dłuższe i szczęśliwsze życie miał mieć gospodarz. Pewnie z tego przesądu wziął się, mający krószą tradycję, zwyczaj konkursów na najwyższą palmę. Najbardziej znany konkurs odbywa się w Łysych na Kurpiach, jednak najstarszy organizowany jest od 1958 r. w Lipnicy Murowanej w Małopolsce.



Jego powstanie zawdzięczamy jednemu zapaleńcowi, Józefowi Piotrowskiemu, który wymyślił sobie sposób na podtrzymanie tradycji przodków i rozpropagowanie jej wśród przyjezdnych. Pomysł okazał się na tyle chwytny, że nie tylko przetrwał sam konkurs, ale o mało znanej, a pięknej okolicy z roku na rok dowiaduje się coraz więcej osób, przyjeżdża tu coraz więcej turystów. W konkursie oceniana jest nie tylko wysokość palm, ale liczy się również pomysł, sposób wykonania i zdobienia. I choć palmy z czasem stają się coraz bardziej wymyślne, ich symbolika nie zmieniła się na przestrzeni lat. Używa się do ich wyrobu wikliny i młodych wiosennych roślin, mających symbolizować nowe życie. Skoro jesteśmy w Małopolsce warto przywołać inne związane z Niedzielą Palmową zwyczaje. Do naszych czasów w kilku podkrakowskich wsiach, m.in. w leżących tuż przy granicy miasta Zielonkach czy Bibicach, przetrwał zwyczaj pucheroków. Spotkać można było tutaj chłopców ubranych w kozuchy przewiązane powróżkami, z kolorowymi czapkami z bibuły na głowach, którzy usmarowani sadzą, śpiewając pieśni oparte na dawnych psalmach wielkopostnych

chodzą od domu do domu i zbierają drobne datki. Zwyczaj ten związany z tradycyjnym kwestowaniem krakowskich żaków miał bardziej lokalny zasięg, za to szerzej rozpowszechniona w Polsce była tradycja Jezuska Palmowego. W uroczystą procesję Niedzieli Palmowej wożono na drewnianym wózku drewnianą figurkę Chrystusa, co miało upamiętnić wejście Jezusa do Jerozlimy. Choć zwyczaj ten w XVII wieku został zakazany przez Kościół przetrwał w jednej z małopolskich wsi – Tokarni w powiecie makowskim. Podejmowano też próby odnowienia go w Szydłowcu





na Mazowszu.

W czasach, kiedy mało kto umiał pisać i czytać ogromną rolę odgrywał teatr. Za jego pomocą przedstawiano treści, które miał przyswoić sobie niepiśmienny lud. W średniowieczu pojawiły się więc misteria – widowiska wyrosłe z połączenia miejscowej tradycji ludowej i klasztornej, łączące elementy religijne i, co było nowe w tym okresie, świeckie, często o charakterze dydaktycznym. Dominującą była oczywiście tematyka biblijna. I tak najbardziej znane polskie misterium to zebrana w XVI wieku przez Mikołaja z Wilkowiecka *Historyja o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim*. Pojawiały się też misteria o narodzeniu Chrystusa, ale do najbardziej popularnych tematów misteriów należał oczywiście temat Męki Pańskiej, czyli inaczej pasje. Tradycja wystawiania pasji osłabła w czasie reformacji, odrodziła się w XX wieku. Obecnie najbardziej znanym jest Misterium Męki Pańskiej organizowane w Kalwarii Zebrzydowskiej. W klasztorze Bernardynów, fundowanym na początku XVII wieku przez Mikołaja Zebrzydowskiego, wojewodę i generalnego starostę krakowskiego,

już w pierwszych latach po jego założeniu w Wielki Piątek mnisi zaczęli wystawiać pasje. Także i dziś do pięknie położonego klasztoru, wokół którego na pagórkowatym terenie wybudowano Ścieżki Męki Pańskiej, nawiązujące architekturą do Jerozolimy, zjeżdżają liczni pielgrzymi i turyści. Goście chcą modlić się i przeżywać w religijnym duchu to wydarzenie, bądź jedynie obejrzeć widowisko teatralne w plenerze, zrobione z dużym rozmachem, w które zaangażowane jest ponad 100 aktorów. Wszyscy, którzy w nim uczestniczą podkreślają, jak bardzo silne jest to przeżycie i mimo często niesprzyjającej wiosennej aury przyjeżdżają tutaj co roku, by na nowo przeżywać wydarzenia sprzed dwóch tysięcy lat.

Po męce i śmierci przychodzi czas na Zmartwychstanie. Z tym najważniejszym dla chrześcijan wydarzeniem łączą się też kolejne tradycje i zwyczaje. W lany poniedziałek w bardzo malowniczej części Krakowa, w klasztorze Norbertanek na Salwatorze, od przynajmniej XVI wieku odbywa się słynny odpust, zwany Emaus. Nazwa pochodzi oczywiście od biblijnej miejscowości, do której po zmartwychwstaniu podążał Chrystus

i w drodze spotkał apostołów. Tradycja Emaus wzięła się ze zwyczaju odwiedzania w poniedziałek kościółków znajdujących się poza miastem. W Krakowie naturalnym miejscem był Salwator, leżący nieco ponad kilometr od średniowiecznego miasta, ładnie położony nad Wisłą i w bliskiej odległości od Lasku Wolskiego sprzyjał świątecznym spacerom. Po uroczystej sumie, odprawianej zawsze przez arcybiskupa Krakowa na krakowian czekały liczne atrakcje – karuzele, stragany ze sztuką ludową, uliczni

grajkowie. W czasie festynu można było odpocząć od siedzenia za stołem, a bliskość rzeki Rudawy sprzyjała podtrzymywaniu tradycji śmigusa dyngusa. Młode dziewczyny czekały tylko, by dostąpić zaszczytu wrzucenia do Rudawy. Obecnie na szczęście nikt do rzeki już dziewcząt nie wrzuca, a nawet skończyło się chuligańskie polewanie wodą wystrojonych świątecznie ludzi. Z tradycji pozostało święto kościelne i stragany, na których niestety dominuje wszechobecna chińszczyzna. Na szczęście na





niektórych stoiskach można kupić jeszcze rękodzieło ludowe, piernikowe serca, a przede wszystkim najbardziej charakterystyczne dla Emaus figurki kiwających się, tradycyjnych Żydów. Studiującego Torę bądź grającego na skrzypcach należało koniecznie kupić, zapewniał bowiem szczęście.

Ostatnim akcentem świąt Wielkiej Nocy i dowodem na to, że niegdyś trwały one dłużej jest Rękawka na krakowskich Krzemionkach. Od XVII wieku w świąteczny niegdyś wtorek istniał zwyczaj chodzenia na

znajdujący się tutaj kopiec Kraka. Bogaci krakowscy mieszczaństwo ze wzgórza zrzucali drobne monety, słodkości i owoce, a biedota, dzieci i żacy zbierali je u podnóża. Źródłem tego zwyczaju są pogańskie, pochodzące z czasów słowiańskich obrzędy związane z przesileniem wiosennym. Nie udało się ich wyplenić mimo wybudowania wokolicy już w X wieku pierwszej świątyni chrześcijańskiej, późniejszego kościoła św. Benedykta. Jak często bywało w historii kościoła pogańskie obrzędy zostały w końcu przyswojone przez tradycję katolicką, a dobitnie świadczy o tym fakt, że kościół św. Benedykta otwarty jest tylko dwa razy w roku – w dzień patrona 21 marca i właśnie w Rękawkę. Słowiańskie rytuały tradycyjnie odbywały się na kopcu, usypanym według legendy przez krakowian ukochanemu królowi z ziemi noszonej w rękawach, stąd w powszechnej świadomości nazwa święta. Jednak filologicznie rzecz ujmując taka etymologia ma niewiele wspólnego z prawdą, a nazwa rękawka pochodzi od prastłowiańskiego słowa oznaczającego grób czy trumnę. Raka, rakva to słowa funkcjonujące do tej pory w różnych językach słowiańskich i oznaczające szkatułę na relikwie. Święto to w czasie zaboru austriackiego było

zakazane ze względu na kłopoty z kontrolowaniem rozochoconego tłumu. Zwyczaj zachował się jednak i obecnie przybrał formę wielkiego

pikniku, odbywającego się na samym kopcu Kraka i w okolicy kościoła św. Benedykta. Biorący udział w imprezie przenoszą się w realia średniowiecznego świata. Poprzezbierani w dawne stroje wojowie biorą udział w zawodach łuczniczych, rzemieślnicy podczas licznych zajęć warsztatowych zapoznają widzów z tajnikami dawnych rzemiosł. Na wszystkich czeka kupieckie targowisko z tradycyjnymi wyrobami i specjały średniowiecznej kuchni.

Trudno wymienić wszystkie zwyczaje, których w różnych regionach Polski jest całe bogactwo. Może te parę przykładów zachęci kogoś do zastanowienia się nad pięknem własnej tradycji zanim nad muślinową babkę i świąteczny żur przedłoży kebab lub paellę z owoców morza.

JDŁ



Brama

Kasia Bartsch-Cielebon

Prolog

Kinga po rozmowie ze swoją redaktor naczelną czuła wiatr w żaglach. Była całkownie pewna, że uda się. Jej na pewno się uda. To, nie to, że naczelną ją chwaliła czy zachęcała. Wręcz przeciwnie. Odradzała jej z całej swojej kobiecej solidarności. Pomimo to, Kinga była pewna, że przeprowadzi wywiad z panią N. No to co, że pani N. nie udzielała wywiadów już od kilkunastu lat? No to co, że nawet jej menadżer nie był w stanie jej do tego przekonać? No to co, że w ostatnim

udzielonym wywiadzie powiedziała, że media kłamią i zmieniają fakty, tak, jak to im pasuje? No to co? Kinga była pewna, że pani N. jej na pewno wywiadu udzieli. No bo niby dlaczego nie?

Próba pierwsza

Willowa ulica. Domy, pobudowane jeszcze przed wojną, pochowane w cieniu okazałych drzew. Południowy skwar końca maja. Kinga podeszła do ozdobnej, kutej bramy. Na murze podtrzymującym zawiasy domofon. Karteczka z nazwiskiem pani N. Po przyciśnięciu nie słychać dźwięku dzwonka. Może nie działa? Po chwili jednak trzask jakby podnoszonej słuchawki.

– Słucham – dojrzały, kobiecy głos.

Kinga przedstawia się, mówi jaką gazetę reprezentuje.

– Nie udzielam wywiadów – głos nabrał ostrości.

– Proszę mnie więcej nie niepokoić. Żegnam – znowu trzask.

– Wow – Kinga podskoczyła z zaskoczenia – no pięknie – a może coś nie tak powiedziała. Co prawda, to zaledwie kilka słów, ale może. Analizuje szybko. No cóż, kto nie zapuka temu nie otworzą. Ponownie naciska przycisk domofonu.

– Słucham – tembr głosu jakby podenerwowany.

– Nazywam się Kinga... – ciąg dalszy urywa trzask słuchawki – chyba wszystko zrozumiała. Niezła sztuka. Na dzisiaj chyba wystarczy – mocuje się ze sobą. Zagląda, przez ozdobne pręty płotu. Zza drzew widać zarysy jasno brązowej willi. Wybrukowany podjazd i ścieżka. Przystrzyżony trawnik.

– Dobra, spróbuję jutro – odpuszcza sobie.

Próba druga

Kinga stanęła przed kutą bramą z mieszanymi uczuciami. Przede wszystkim zależało jej, aby udowodnić innym i sobie, że jej się uda. To był cel nadrzędny. Przełamać „żelazną panią” i pokazać wszystkim: patrzcie, co to nie ja. Nagle, zupełnie nie wiadomo skąd pojawiło się pilące uczucie, że coś tu jest nie tak. No, ale nie może się tak szybko poddać. Trzeba mieć zęby. Trzask podnoszonej słuchawki postawił ją na baczność.

– Słucham! –

– Proszę pani, ja wiem, że może jestem trochę namolna, ale bardzo mi zależy na przeprowadzeniu z panią tego wywiadu – wyrzuciła z siebie kwestię ćwiczoną od kilku minut. Cisza. Dziewczyna nasłuchuje czy będzie charakterystyczny trzask. Ciągłe cisza. Może ją zabiłam? Zasłabła, albo co? Myśli przelatują przez głowę Kingi.

– Pani była wczoraj – nagle cisza przerwana.

– Tak – odpowiada wyczekująco.

– Szanowna pani, naprawdę proszę sobie dać spokój. Nie udzielam wywiadów. Nie czuję takiej potrzeby, ani nie myślę, żeby dawać pożywkę ze swojego życia gazetom czy też innym mass mediom – głos pani N. był niezwykle stonowany i spokojny – tak więc bardzo dziękuję za zainteresowanie jakim mnie pani obdarzyła, ale ostatecznie nie. Nie udzielam wywiadów. Mam taką zasadę. Żegnam – charakterystyczny trzask.

– Noo – Kinga czuje się prawie szczęśliwa – przynajmniej mnie nie skrzyczała. Jutro znowu? Dobra, jutro znowu – odpowiada sama sobie. Może wyrosną wreszcie te dziennikarskie zęby.

Próba trzecia

Lekki dreszcz przebiegł Kindze po plecach, gdy stanęła przed bramą pani

N. trzeciego dnia. Przycisk domofonu jak zwykle ofiarnie oznajmił jej obecność. Cisza. Nic. Kolejne naciśnięcie. Znowu nic. Jeszcze raz. Bardziej nerwowo i natarczywie. Długo. Cisza. Przejmująca. Kinga poczuła, że poci się z jakiegoś nierealnego strachu. No przecież do trzech razy sztuka. Ten jest trzeci. A jak się nie uda? Naczelną jej nie wyśmiej. Bo kobieta ma klasę, ale ona sama będzie wiedziała, że jest do kitu. Nieprawda, nie powinna tak myśleć. Dziennikarz tak nie myśli. No i co z tego, że to dopiero jej pierwsze kroki. Twarda jest. Nie podda się. Da radę. Musi. Wdusiła przycisk domofonu w ścianę.

– Niech pani przestanie. Bajglowi się to nie spodoba – głos pani N. zaskoczył ją z boku.

Podsłuchiwała przestraszona. Trzymane w ręku kartki rozsypały się na chodnik. Odruchowo przykucnęła i zgarnęła je. Dopiero wtedy uzmysłowiła sobie, że koło niej stoi nie kto inny, tylko „żelazna pani” N. Popatrzyła na nią z perspektywy siedzącego psa. Taka jak sobie wyobrażała. Pomimo lat ciągle zaskakująco młoda. Niewiarygodne.

Pani N. przyglądała się jej z ciekawością.

– A myślałam, że młodzi już tego nie noszą – powiedziała w zamyśleniu.

Dłoń Kingi odruchowo sięgnęła do krzyżyka na szyi.

– Nie. Wcale nie... noszą – nie odważyła się jeszcze podnieść z przysiadu.

– A to taki mały kluczyk – mówiła nadal zamyślona pani N – który otwiera ludzkie serca.

– Mówią, że to znak hańby – palnęła nagle Kinga i aż przestraszyła się słów, które tak sobie powiedziała.

Pani N. uśmiechnęła się.

– Kiedyś zrozumieją – podała Kindze dłoń, pomagając jej wyprostować się. A potem uśmiechnęła się raz jeszcze i dodała – i docenią! – Popatrzyła na nią – pomożesz mi w czymś?

– No pewnie – dziewczyna zdumiona wzruszyła ramionami. Czarodziejska brama wiodąca do domu pani N. stała otworem. Bajgiel okazał się szorstkowłosym jamnikiem, który przywitał ją ujadaniem jak tylko przekroczyła próg domu. Kinga była teraz jak mała dziewczynka wstępująca do czarodziejskiego królestwa. Szła za panią N. starając się nie wydawać żadnych dźwięków. Aby tylko nie spłoszyć chwili.

– No, to jest to – pani N. wskazała jej olbrzymią palmę w wielkiej drewnianej donicy – chciałam ją wyprowadzić na świeże powietrze. Na taras. Kiedyś przepychaliśmy ją z mężem, potem, po jego śmierci, pomagał mi sąsiad, pan Janek, ale i on umarł. Dzieci, jak pewnie wiesz, nie mamy – a my – popatrzyła na

kręcącego się koło nich psa – no cóż... Pomożesz mi ją przepchnąć?

– Pewnie! Palma i donica ważyły pewnie z pół tony, przynajmniej tak się Kinga wydawało. Ale pchając, ciągnąc i ostro sapiąc wyprowadziły roślinę na szeroki taras. Nagle nie wiadomo skąd pojawiły się pasiaste drewniane leżaki.

– Prowadzisz? Robię pyszną pinacoladę...

– Nie. Mam tylko park do przeskoczenia i jestem w domu – Kinga nadal czuła dziwne zaskoczenie zmianą w postępowaniu pani N. Zdumienie. Doleciał ją słodki zapach mleczka kokosowego

– Siadaj – pani N. podała jej szklankę z drinkiem, wskazując przy okazji leżak. Kinga wciąż zaskoczona usiadła. Szerokie liście palmy rzuciły pierzasty cień. Mleczko połączone z rumem pachniało uwodzicielsko.

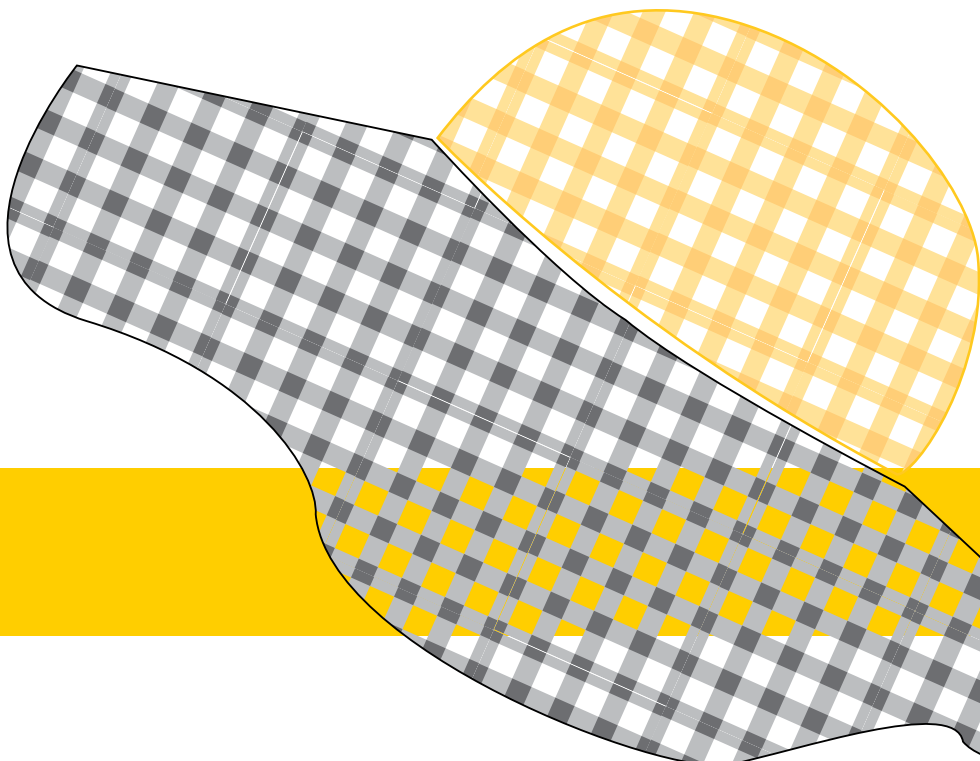
– Bosko – szepnęła Kinga.

– Nooo – odpowiedziała pani N.

Epilog

Wywiad z panią N. nigdy się nie ukaże, bo nigdy nie zostanie przeprowadzony. Kinga nie wyrobi sobie dziennikarskich zębów... Ale palma. Palma zawsze może liczyć na leżakowanie na świeżym powietrzu. No cóż...

KBC



Wolność

Tamara Kuświk

Biegnąc na spotkanie z moimi przyjaciółkami byłam bardzo podekscytowana. Właśnie wróciłam z Afryki, opalona, wypoczęta jednym słowem szczęśliwa. To było jedyne wyjście z depresji – pomyślałam. Przed wyjazdem nie mogłam znaleźć sobie miejsca, przestałam pisać i zawałam kolejny termin oddania książki. Mój wydawca nie chciał już słuchać żadnych usprawiedliwień, a z kolei stan moich finansów stopniał prawie do zera. Jakże więc mogłam opuścić taką okazję jak urlop.

Po wejściu do restauracji ujrzałam machającą w moim kierunku Deby. Wyglądała jak zawsze wyrafinowanie a zarazem kobieco. Tym razem niemalże do wojskowych spodni założyła cieniutki, beżowy sweterek i wysokie szpilki. Wyglądała jakby wróciła właśnie z pokazu mody.

Uśmiechnęłam się na jej widok.

– Jesteś kochana – krzyknęła i wybiegła na przywitanie.

Kilka osób zerknęło w moją stronę, by po chwili powrócić do swoich rozmów. Całuję Deby w policzek i przysuwam krzesło zdziwiona nieobecnością naszej trzeciej przyjaciółki.

– Co się stało, Susan jeszcze nie przysłała?

– Wiesz – mówi – zatrzymało ją zebranie Zarządu, ale zaraz powinna przyjechać.

Biorę menu do ręki i zastanawiam się, na co właściwie mam ochotę. A może raczej zastanawiam się, ile powinnam przeznaczyć pieniędzy na ten uroczysty wieczór. Z dziewczynami przyjaźnię się od ponad dwudziestu lat. Bez względu na nasze zajęcia oraz napięty grafik dawno postanowiłyśmy raz na pół roku spotykać się na uroczystą kolację. Co prawda ostatnio

widziałyśmy się jakieś osiem miesięcy temu, Deby gościła pół roku w Paryżu przygotowując projekt reklamowy dla jakiejś dużej francuskiej korporacji. Postanowiłam nie oszczędzać z tej okazji i nie zwracać uwagi na ogromne ceny. W końcu nie zawsze mam okazję spotkać się z dziewczynami. A co tam – pomyślałam – raz się żyje.

Deby podnosi głowę i macha w kierunku drzwi. Właśnie zobaczyła Susan, która weszła do restauracji.

Zamówiłyśmy wykwintne dania, a na deser miałam ochotę na naleśnika z owocami i lodami, zakrapianego likierami.

– Pięknie wyglądasz – Susan podniosła głowę, odkładając menu. – Opowiadaj gdzie byłaś, widzę po opaleniznie, że wróciłaś w wakacji.

– Nadarzyła mi się prawdziwa okazja – przyznaję nieśmiało – koleżanka miała jechać z mężem na urlop do Afryki, ale biedny się rozchorował i zaproponowała mi wyjazd po okazyjnej cenie.

– To wspaniale – wzdycha Deby, spoglądając w stronę kelnera, który właśnie stawiał dania na naszym stoliku. Biorę serwetkę i kręcę nią bezwiednie wokół dłoni. Jestem zdenerwowana. Pomiędzy stolikami właśnie idzie w naszym kierunku mój agent. Opuszczam wzrok na talerz i udaję, że go nie widzę.

– Ooo, kogo moje oczy widzą – słyszę

jego głos tuż nad sobą. – Jaśnie pani wróciła z wakacji.

– Tak – mówię szeptem.

– Przepraszam panie, że przeszkadzam – zwraca się do moich koleżanek – ale jestem już zmęczony bezskutecznym wydzwanianiem i zostawianiem wiadomości na pocztę głosowej.

– Kiedy? – pyta, a w jego głosie słyszę zdenerwowanie. Mam ochotę zniknąć, przenieść się wszędzie byleby tylko uniknąć tej przykrej sytuacji.

– Proszę, daj mi jeszcze kilka dni – mówię nieśmiało.

Mam wrażenie, że zaraz eksploduje, ale dobre maniery sprawiają, że odwraca się na pięcie i przez plecy syczy – masz dwa dni, to ostateczny termin.

Na widok twarzy dziewczyn robi mi się słabo. Straciłam już całkowicie apetyt, kładę więc widelec na talerz i odsuwam krzesło.

– Co się stało? – Deby wyraźnie niespokojnie kręci się i spogląda w stronę oddalającego się agenta.

Zastanawiam się nad jakimś kłamstwem, które próbuje wymyślić na poczekaniu, ale zrezygnowana opowiadam przyjaciółkom o moich problemach. O moim braku weny twórczej, życiem ponad stan, problemach finansowych i kredytach, które zdążyłam w międzyczasie zaciągnąć. Czuję jak łzy spływają mi po policzkach, a nogi zaczynają się trząść.

– I jeszcze wzięłaś kolejną pożyczkę i pojechałaś do Afryki? – pyta zdumiona Susan. – Umarłabym z niepokoju na twoim miejscu. Jak ty możesz spokojnie spać?

– Daj spokój – mówię speszona, czując jednocześnie jak narasta we mnie bunt. – Tak naprawę nic się nie stało, jestem wolna od lęków, wróciłam właśnie z urlopu i mam zamiar wziąć się do pracy.

– Chcesz powiedzieć, że przez dwa dni napiszesz książkę? – Deby była wstrząśnięta.

– Nie przesadzajcie dziewczyny. W końcu, od czego są banki?

Wieczorem z dzbankiem świeżo zaparzonej kawy siadam przed komputerem i postanawiam wziąć się do pracy. Jednak w głowie mam pustkę. Jestem rozczarowana atakiem dziewczyn. Wyraźnie mnie nie rozumieją, co miałam w takiej sytuacji zrobić. Musiałam wyjechać i odpocząć, aby naładować akumulatory. W końcu nadarzyła się prawdziwa okazja. Spojrzałam bezwiednie w kierunku szafy i przypomniałam sobie, że moje ostatnie zakupy w Galerii także były okazją. Przeceny, jakie rzadko się spotyka. Markowe rzeczy, które tak uwielbiam miałam okazję kupić za połowę ceny. W końcu muszę jakoś wyglądać. Nic na to nie poradzę, że tym razem tak jakoś wyszło. Wszystko spadło na mnie znienacka, całe to

zamieszanie, ale przecież nie będę się tym zamartwiać. Nie ja jedna żyję z kredytów. Spoglądam na ekran komputera i denerwuję się migającym kursorem. Zupełnie straciłam ochotę na pisanie, mam w sobie jakąś pustkę. Życie jest niesprawiedliwe, dlaczego mnie to dopadło? A z drugiej strony, to tylko kilka kredytów. Od tego świat się jeszcze nie zawali.

Z zadumy wybija mnie dźwięk komórki – to znów mój agent. Wyłączam telefon pośpiesznie i dochodzę do wniosku, że to on jest winny moich problemów. Zbyt często mnie pogania.

Kilka miesięcy później otrzymałam honorarium za moją pracę i już nie mogłam się doczekać zakupów. Z sąsiadkami udałam się do małego pałacyku, w którym mieściło się atelier znanej projektantki mody. Uwielbiałam to miejsce. W samym centrum, pośród wysokich wierzb, tajemniczo ukryty marmurowy taras. Piękne, stylowe schody prowadzą wprost do wielkiego świata mody.

– Spójrz, jaka piękna – Adela wyciągnęła w moją stronę wieczorową suknię. – Z twoimi długami nogami będziesz wyglądała bosko.

Delikatny materiał falował w moich dłoniach niczym mgiełka. Powolnie z czułością gładziłam jedwab, wyobrażając sobie wytworny bal. Pastelowe kolory mieniły się, odbijając

światło. Kiedy ją przymierzyłam, poczułam lekkie podniecenie wywołane dotykiem kreacji.

Suknia była zachwycająca, wprost uszyta do mojej figury.

Dziewczyny nie mogły się napatrzeć. Przez kolejne godziny przymierzałyśmy przeróżne rzeczy, odkładając ciuszki, które miały stać się naszą własnością. – Mąż chyba mnie zabije – szczebiotała Morgan – a co tam w końcu, jak się chce mieć piękną żonę trzeba płacić. Uśmiechnęłam się, Morgan zawsze miała wyrzuty sumienia, ale szybko przechodziły w wielką po zakupową radość. Jej mąż był zamożnym bankierem i jeszcze nie słyszałam, aby nie pozwalał żonie na zakupy. Poczułam lekkie ukłucie zazdrości.

Stałam obok stylowej ciemnobrązowej szafy, spoglądając na koleżanki. Nagle, zupełnie nie wiadomo skąd przysła mi do głowy pewna myśl. Doznałam olśnienia.

Niepewnie spojrzałam w kierunku wieszaków odłożonych w celach finalizacji zakupowych. Eleganckie suknie, piękne bluzki, szale, apaszki, marynarki.

– Proszę je odłożyć na miejsce – usłyszałam swój własny głos.

– Dobrze się czujesz? – Adela patrzyła na mnie jakby zobaczyła ducha.

– Wychodzę – oznajmiłam i ruszyłam w kierunku drzwi.

– Matko, Kika zwariowała, zupełnie

odbiła jej palma – usłyszałam jeszcze zanim zamknęłam drzwi.

Moje honorarium wystarczyło na pokrycie połowy zobowiązań. Jednak przez kolejne miesiące pracowałam wytrwale nie tylko pisząc. Zmieniłam swoje przyzwyczajenia i zdziwiłam się, że można tak żyć. Mój uścisk w gardle z każdym dniem malał wraz z moimi kredytami. Kiedy spłaciłam ostatni i wyszłam z banku mocno wciągnęłam powietrze. Spojrzałam szczęśliwa na przejeżdżające samochody, zagonionych ludzi i szare domy. Krople deszczu spływały po moich policzkach wprost do ust. A moje serce przepełnione było żarem. Nie pamiętałam już, kiedy ostatnio dałam się ponieść takiemu uczuciu. Odwróciłam się powoli i spojrzałam na stare, obrotowe drzwi gmachu. Budynek był duży, stary i masywny. Sprawiał wrażenie wielkiej, trwałej twierdzy. Na wspomnienie moich zobowiązań zadrżałam.

– Już mnie to nie dotyczy – otrząsnęłam się ze złych wspomnień. Uśmiechnięta pobiegłam przed siebie krzycząc z radością: – Wolność, wolność, prawdziwa wolność!

TK

Odbija nam palma, czyli kilka słów o przeznaczeniu i manipulacji

Karolina Dyja

„**D**ziwny jest ten świat” – śpiewał nieodżałowany Czesław Niemen. Odkąd sama załatwiam swoje sprawy i decyduję za siebie, coraz częściej przyznaję mu rację.

Rodzice uczyli mnie, że wszystko na tym świecie powinno mieć swoje miejsce. Dlatego kubki są w jednej szafce, a talerze w drugiej, klucze chowa się do szkatułki, książki szkolne do tornistra... i tak dalej. Porządek ułatwia funkcjonowanie w świecie i pozwala zaoszczędzić wiele nerwów.

Każde miejsce ma swoje przeznaczenie – mówili. Do kościoła więc chodzimy po to, żeby się pomodlić, do kina na film, relaksujemy się przed telewizorem, a na Facebooka wchodzimy dla rozrywki.

Postanowiłam sprawdzić teorię jasności i porządku w praktyce.

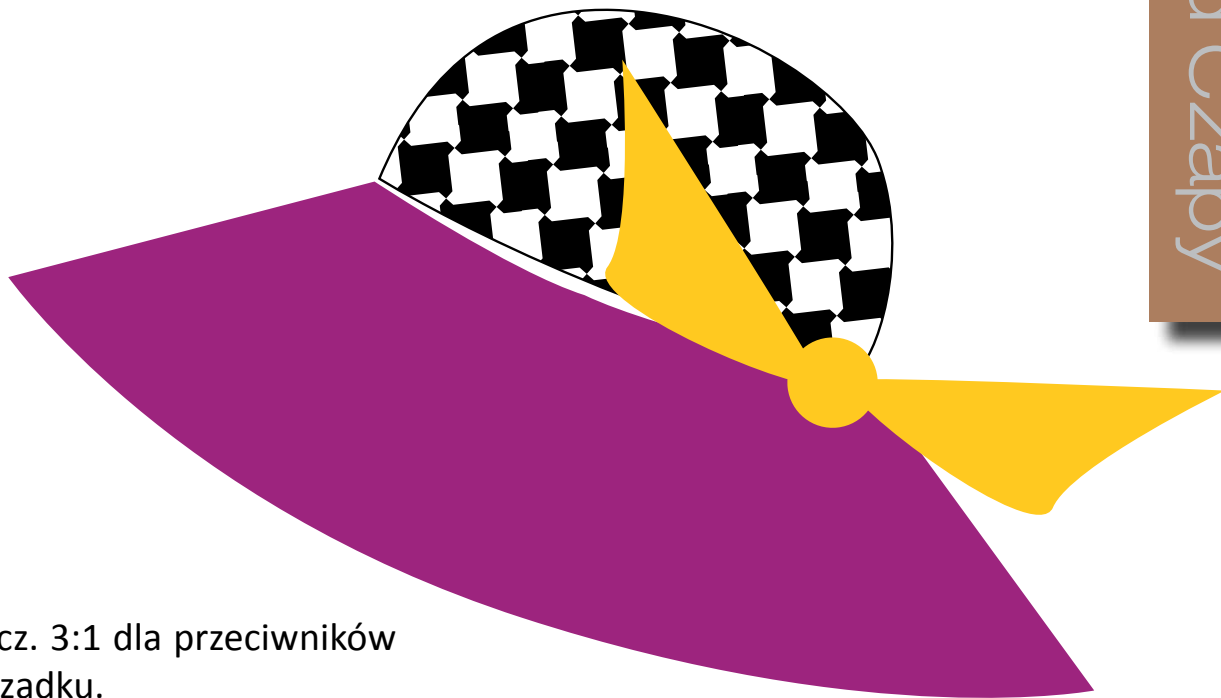
Poszłam więc do kościoła. Niespodzianka: kazanie polityczne. Jezus, partia rządząca, hipokryzja,

moralność, zły pan premier. Nie, zdecydowanie nie po to tu przyszłam. 1:0 dla przeciwników teorii.

Kino. Jest film, są ludzie, którzy go oglądają. Zawsze znajdzie się ktoś, kto przeszkadza, ale można nie zwracać na to uwagi. Nikt nie atakuje i nie agituje. Remis.

Telewizja. Tutaj jest dużo gorzej. Reklamy (niejednokrotnie dłuższe od emitowanego programu) zachęcają i dyktują: kupuj to, spróbuj tego, musisz to mieć, to jest modne, niezbędne i świetne. Czuję, że ktoś próbuje mną manipulować. 2:1 dla przeciwników.

Facebook. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że zalogowałam się w newralgicznym momencie – trwała kampania wyborcza. Koleżanka, którą lubię i cenię, przesyła mi wiadomość. Otwieram ją i czytam: „Głosuj na TĘ partię, nie na inną, bo...” – chyba zrozumiałe, że kursor myszki samoistnie powędrował w okolice czerwonego krzyżyka. Ogarnęła mnie



czarna rozpacz. 3:1 dla przeciwników jasności i porządku.

Jak widać, teoria moich rodziców jakoś nie sprawdza się w dzisiejszym świecie. Na każdym kroku ktoś próbuje na nas wpływać i nami manipulować. Telewizja dyktuje, co mamy kupować, jeść i w co się ubierać. Kościół coraz częściej wkracza w sfery życia, do których teoretycznie religia się nie odnosi. Inni ludzie próbują nas przekonać do swoich racji, nie uznając naszych. Z każdej strony jesteśmy atakowani gotowymi schematami, prostymi receptami na wszystko. Jakoś mało w tym wszystkim miejsca na nasze odczucia, rozsądek i analizę sytuacji. Ktoś boi się wniosków, do jakich doszlibyśmy myśląc samodzielnie? Nad „stadem baranów” łatwiej zapanować? Wzorce życia stają się tak wygodne, że po prostu „odbija nam palma”? Problem ten jest ciągle żywy

i aktualny. Celnie pisze o tym rosyjski dziennikarz Aleksander Poltowski, opisując rozmowy ze swoją żoną, Anną (również dziennikarką):

Ona była pewna, że chciwością można kierować i że istoty ludzkie są wartością samą w sobie. Potrafią być niezależnymi, twórczymi jednostkami. Ja byłem przekonany, że jednostkę zawsze można kontrolować. Genetyczna pamięć niewolnika jest w nas, niezależnie od tego, czy masz koguta na dachu swojego prestiżowego samochodu i ochroniarza, czy jesteś kloszardem zbierającym złom.

Dzisiaj ciężko jest być „niezależną jednostką twórczą”. Może więc po prostu powinniśmy nie dać się zwariować?

KD



s
ł
o
ń
c
a

Piruary wok ół

Joanna Wroczyńska

Taniec to jedna z rzadkich dziedzin, gdzie człowiek zaangażowany jest całkowicie: ciałem, duszą i umysłem

Maurice Bejart

Kilka dni temu odbiła mi palma i pojechałam do Poznania. Nie, nie bez powodu. Oczywiście planowałam tę wyprawę, odkąd dowiedziałam się, że... wystawiają tam *Jezioro Łabędzie*! Premiera odbyła się 17 lutego, ale uwierzcie – niełatwo było zdobyć bilety. Mnie przypadły akurat na piątek, trzynastego, o godzinie 11. I na pewno nie mogę zaliczyć tego piątku do pechowych, ponieważ cały dzień spędziłam w niezwykle sposób! Zerwawszy się z łóżka bladym świtem ubrałam się, umalowałam, zarzuciłam na ramię zapakowaną wcześniej torbę i pognałam wraz z moją towarzyszką

na dworzec – pociąg miałyśmy o 6:05. W Poznaniu byłyśmy z dwugodzinnym wyprzedzeniem, które spędziłyśmy spacerując po mieście i lokalizując ostatecznie Teatr Wielki. W porównaniu do stołecznego teatru, poznański wcale nie jest taki „Wielki”, ale to w końcu tylko gmach – liczy się to, co wystawia!

Moje podejrzenia co do wczesnej godziny spektaklu okazały się słuszne – towarzyszyło nam sporo wycieczek szkolnych, była też grupa osób specjalnej troski. Bardzo mnie to ucieszyło, ponieważ uważam, że człowieka należy od młodego wieku i bez względu na poziom rozwoju zapoznawać ze sztuką. To uwrażliwia i uszlachetnia.

Gdy tylko zgasły światła i zabrzmiały pierwsze nuty, przeniosłam się w niezwykły świat, na który tak niecierpliwie czekałam. *Jezioro Łabędzie* jest bowiem pierwszym tytułem baletu, z którym zetknęłam się w dzieciństwie, eksplorując świat tańca. Wtedy też udało mi się zdobyć nagranie DVD, które oglądałam bez końca. Rok temu ukazał się film *Czarny Łabędź*, który jednak trochę namieszał mi w głowie, ponieważ ukazał świat baletu w dość koszmarnym świetle. W każdym razie byłam przeszczęśliwa po obejrzeniu *Jeziora* na żywo. Myślę, że śmiało można je uznać za sztandarowy balet, który cieszy się ogromną popularnością. Zapewne gdyby zapytać ludzi na ulicy o podanie jakiegokolwiek tytułu baletu, to większość odpowiedziałaby: *Jezioro Łabędzie*.

Owo dzieło Piotra Czajkowskiego, swoją premierę miało w 1877 roku w Moskiewskim Teatrze Bolszoi. Niestety, nie od razu zostało przyjęte tak entuzjastycznie, jakby się mogło wydawać. Dopiero za sprawą rewelacyjnego choreografa tamtych czasów, Mariusa Petipy i jego ucznia Lwa Iwanowa, *Jezioro* mogło odżyć na nowo i po prawie 18 latach zostało wystawione w Petersburgu w trzyaktowej postaci, nawiązującej

do romantycznej tradycji. Dziś stanowi zaś inspirację i podstawę dla tworzenia nowych choreografii i interpretacji, a w Moskwie bywa nawet nazywane „arcy-baletem”.

Po mojej niezwykłej przygodzie, chcę zachęcić wszystkich Czytelników do aktywnego poszukiwania sztuki! Byłam niepewna, wybierając się do innego miasta tylko po to, aby obejrzeć balet, a okazało się, że naprawdę warto! Przekonałam się tym samym do podróżowania, by odkrywać sceny nie tylko w najbliższej okolicy i już myślę, gdzie się wybrać następnym razem. Wychodzi na to, że ciekawość to pierwszy stopień do... rozwoju!

JW





WIEDŹMA

Katarzyna Bartsch-Cielebon
powieść w odcinkach
cz. VII

Zbliżał się dzień jarmarku i na podgrodziu robiło się gwarно i ruchliwie od nadjeżdżających wozów. Kto miał co do sprzedania przyjeżdżał, aby wystawić swoje towary na pokaz. Pani spoglądała na to przez uchyloną bramę. Stała oparta o ścianę stajni i wsłuchiwała się w zwykłe, codzienne odgłosy krzątania służby. Równocześnie ciekawa była ludzi, którzy ściągali na targ. Po głowie kołatały się jej wspomnienia, wcześniejszych zapachów, gwaru i tłumu ludzi.

Zupełnie nie wiedziała dlaczego właśnie teraz naszyły ją takie wspominki. Przyjrzała się swoim dłoniom, pomarszczonym już, lecz wciąż bardzo sprawnym. Dłoniom, spod których wychodziły piękne tkaniny. Ze smutkiem przytuliła je do siebie. Gdybyż tylko mogła tymi dłońmi zmienić ten świat. Utkąć go jak wspaniałą tkaninę. Gdybyż tylko mogła nakłonić swojego syna do powtórnego małżeństwa. Gdybyż tylko mogła zobaczyć swojego młodszego



sokoła, syna ukochanego, który teraz był przy cesarskim dworze. Och, gdybyż tylko mogła. Tęsknie zwiesiła głowę. Dobiegł ją nagle brzdęk tłuczonej misy i chlupot wylewającego się płynu. Obróciła się gwałtownie w kierunku dźwięku i ujrzała jedną z kucht pospiesznie zbierającą połamane skorupy. Przestraszona patrzyła w jej stronę. Skorupy ułożone pośpiesznie na ręku zsuwały się przy każdym kolejnym ruchu.

– No i czego tak się niezdaro gapisz? – wrzasnęła na nią – sprzątaj coś narobiła. – Nie miała ochoty dłużej zatrzymywać się nad taką błahostką. Uznała, że już wystarczająco pogoniła służącą i udała się do izby na piętrze. Kazała wezwać do siebie dziewczynę, która posądziła ją

o brak opieki. Emilia weszła. – Zbliź się – rozkazała pani. Były same. Dwórki po uzyskaniu pozwolenia pobiegły na podgrodzie przechadzać się między rozstawianymi straganami, śmiać się i flirtować. Pan Thomas, jak co dzień, objeżdżał swoje włości, aby dać możliwość wybiegania się swojemu ulubionemu rumakowi. W komnacie panowała cisza. Wystraszona dziewczyna podeszła do pani.

– Mówisz, że ktoś cię zniewolił pod moim dachem? – zaczęła starsza z kobiet. Młodsza potwierdziła głową.

– Co chcesz uzyskać? – zapytała bez większych wstępów.

– Pani, ja tylko chcę, aby został ukarany. Tylko tyle. Bo to za mną... Kary pragnę



dla niego, tylko tyle. Ja tylko o zadośćuczynienie mojej duszy proszę, bo... przecież tak być nie może, aby ktoś mnie niechętną siłą brał – spuściła głowę. Trudno, jak pani się na nią zezłości, to jakoś wytrzyma. Ale sprawiedliwość powinna być. Jakaś powinna.

– Śmiała z ciebie dziewczyna – rzekła pani z namysłem – odważna. Mało która odważyłaby się tak do mnie mówić – pokręciła głowę ze zdziwieniem – ale może i racja. Co mi o tym kimś możesz powiedzieć?

– Nie widziałam go pani – Emilia odrobinę bardziej ufnie podniosła głowę – zarzucił mi worek na głowę i wepchnął do ust szmatę...

– To niezbyt dokładny opis.

– Nie widziałam go pani. Silny był bardzo i ciężki –

rozpłakała się na wspomnienie przeżytego wcześniej upokorzenia.

– Dłonie miał duże – nie chciała pamiętać. Tak, jak najszybciej zapomnieć. O tak.

Pani westchnęła. Pogładziła dziewczynę po włosach. Musiała przyznać przed sobą, że pewnie dziewczyna jednak jej nie okłamuje, niestety. Będzie musiała coś z tym zrobić.

– A czy nic ci nie dolega? – zapytała jeszcze zagryzając wargi. Emilia zaprzeczyła.

– Wracaj do pracy.

Została sama. Spojrzała na jedyny portret w sali. Uśmiechała się z niego kruczoczarna dziewczyna o palących, ciemnych oczach. Jej pełne usta wciąż układały się w ten sam kształt, jak do pocałunku. Zastygłe w swojej radości...



– Oj Thomasie, Thomasie gdybym chociaż ciebie ożeniła – westchnęła, odwracając wzrok z niechęcią – z tych wszystkich spraw na mojej głowie ta jest chyba najbardziej dokuczliwa. Udała się do sypialni, gdzie akurat mały Ulryk spał kołyszany przez mamkę. Dziecko było smagłe i dobrze rozwinięte. Pani uśmiechnęła się do siebie. Następne pokolenie na zamku, następny właściciel dóbr. Zza okna dobiegły ją odgłosy zapraszających na występ kuglarzy. Zamknęła okiennice i komnata pogrążyła się w półmroku. Tymczasem na jarmarku pojawili się trefnisie, którzy swoimi sztuczkami wabili do siebie gapiów. Ubrany w śmieszne, kolorowe szmatki karzeł wywijał kozły przed

gromadzącą się publicznością. Stanął na rękach i śmiesznie majtając nogami przemaszerował, przy ogólnym śmiechu przed zgromadzonymi. W tym czasie za jego plecami inni mężczyźni rozciągali pozszywaną z różnych kolorowych szmat zastonę. Zawieszona na sznurze rozciągniętym między dwoma wysokimi kijami kryła podprowadzony do niej tyłem wóz. Bardziej ciekawskie dzieci zaglądały co się tam dzieje, ale pracujący mężczyźni odganiaли podglądaczy. Przed zastonę wystąpił siwowłosy człowiek, w ciemnej opończy. Przydługie włosy zaczesane do tyłu odsłaniały wysokie czoło. Popatrzył na zgromadzonych jasnymi, żywymi oczami.



wyjąć letnie ciuchy

– Szanowna, i jakże nadobna publiczności! – zaczął – piękne panie i mężni panowie – po zgromadzonych przebiegł pomruk zadowolenia. Mężczyzna zauważywszy to ciągnął dalej – moi jakże wspaniali widzowie, pozwólcie przedstawić sobie historię szlachetnej i pięknej damy, która utraciwszy wszystko, okrutnie doświadczana przez los znajduje miłość i wybawienie od cierpień.

Przed kotarę wyszedł mężczyzna z fletem w dłoni i zaczął cicho grać. Po chwili zza zasłony drobnymi kroczkami wybiegła dziewczyna. W połyskującej sukni, naszywanej kolorowymi szkiełkami i lśniącymi taśmami. Gestami, uśmiechami i tańcem pokazywała swoje szczęście

i zadowolenie. Jakby tańczyła po ogrodzie, jakby czerpała wodę ze strumienia. Nagle zza zasłony wyskoczył potężny, groźnie wyglądający mężczyzna. Miał miecz przy boku i kawał papieru w dłoni. Zgromadzeni zafalowali z niepokojem na jego widok. Mężczyzna rozwinął papier i udał, że go odczytuje dziewczynie. Ta coraz bardziej smutniejąc schyliła się po coś na ziemi i oddała mu skrzyneczkę, z której po otwarciu zdawał się bić blask złota. Publiczność westchnęła. Mężczyzna nie był jednak jeszcze zadowolony. Wskazał na świecidełka na sukni.

KBC

Podróże

Paweł Radźko

Ile razy myślałem: „Pojechałbym dokądś. Norwegia? Afryka? Może Ibiza?” Na świecie są tysiące miejsc, które chciałbym odwiedzić i zobaczyć. Wątpię w to, że jestem wyjątkiem. W każdym z nas kryje się odkrywca.

Oczywiście, ze studenckiego punktu widzenia możliwości są ograniczone. Koszty! O nie przede wszystkim rozbijają się marzenia. Nie mogę, jak mówi Wojciech Cejrowski „sprzedać lodówki i jechać”, bo nawet i tej nie mam na własność! „Ale przecież są wymiany studenckie, praktyki i multum innych rzeczy!” – krzyknie ktoś żwawo. Owszem, ale ja skupię się na czymś innym. By podróżować, nie potrzeba, tak naprawdę, góry pieniędzy i drogiego sprzętu, czy wielkiego stypendium.

Przypominam sobie moją wizytę w zielonogórskiej palmiarni. Był luty. Śnieg zalegał, gdzie niegdzie odsłaniając gołą ziemię i trawę o mdłej barwie. Wszedłem do szklanej konstrukcji wznoszącej się ponad miastem. Nagłe ciepło otoczyło mnie, gdy tylko przekroczyłem próg. Było to

niezwykłe uczucie. Być może dałem się ponieść wyobraźni, ale odnosiłem wrażenie jakbym przeniósł się w głąb tropikalnego lasu deszczowego i zapomniał, gdzie byłem przed chwilą. Wysokie drzewa wydawały się skąpane w porannej mgie równikowej wilgoci, a z głębi dolatywał śpiew rajskich ptaków. Nie zwracałem uwagi na inne osoby, wewnątrz mnie szalała burza zmysłów. Palmy sięgały nieba i trzeba było zadzierać głowę, by na nie spoglądać. Wyszedłem na taras widokowy i obudziłem się. Przypomniałem sobie, gdzie naprawdę jestem. Miasto wyglądało szaro, niemal ponuro w porównaniu do wnętrza palmiarni.

Podczas naszego codziennego „bycia” spotykamy wiele takich „palmiarni”. Są jak małe wielkie podróże, które organizujemy sami i które pozwalają nam uciec od nudy i zmęczenia. Wystarczy chęć i odrobina wyobraźni, a ubarwią nam oczekiwanie na prawdziwą przygodę.

PR



facebook atakuje!

Katarzyna Drzazgowska

Niedawno usłyszałam z ust pewnej pani w średnim wieku, że tej dzisiejszej młodzieży to zupełnie palma odbała, że siedzą tylko z głową w komputerze, a *Facebook* stał się ich światem. W pierwszej chwili nie potraktowałam tych słów poważnie. Jednak postanowiłam przyrzeć się kwestii i wnioski okazały się alarmujące. *Facebook* ma niewątpliwie właściwości uzależniające. Zaczyna się jak zwykle niewinnie. Założenie profilu to przecież nic wielkiego, zajmuje kilka minut i nie następuje większych trudności. Odszukiwanie i zapraszanie znajomych to świetna zabawa, która czasem zaczyna się przeobrażać w rywalizację. Kto ma więcej znajomych, stoi wyżej w hierarchii towarzyskiej. Ponad pięciuset to wynik, którym można się pochwalić. Szkoda tylko, że wiele osób połowy ze swoich wirtualnych znajomych nie rozpoznałoby na ulicy, bo widziało ich raz czy dwa razy w życiu. Ale to nie wszystko. Statusy, które można aktualizować tak często, jak tylko użytkownik sobie życzy, co w niektórych wypadkach oznacza, co pięć minut. A nawet częściej. Jeśli właściciel konta

uznaje, że wszystkich wokół interesuje, co zjadł na śniadanie, jakiej pasty do zębów użył, czy gdzie i z kim w danej chwili jest, może poinformować o tym wszem i wobec. Całości dopełniają uroczne zdjęcia. Z wakacji, z wesela, z imprezy, ze sklepu, ze wspólnych zakupów. Można umieszczać i komentować także fotografie swoich znajomych czy ukochanych czworonogów. Wszystko, czego dusza zapagnie. A jeśli kilkadziesiąt osób kliknie „lubię to”, to cel osiągnięty i można spać spokojnie. Samo hasło „lubię to” przeniknęło z resztą do języka młodzieżowego i jest komentarzem zastępującym zwroty: „dobry pomysł”, „zgadzam się z tobą” czy „masz rację”. Niektórzy użytkownicy także na co dzień rozmawiają o postępach poczynionych w aplikacjach na swoim profilu i nie wyobrażają sobie rozpoczęcia dnia bez sprawdzenia, jak rozwija się jego farma, czy rybki w wirtualnym akwarium mają się dobrze albo czy aby nie został wyzwany na pojedynek przez konkurencyjną mafię. Oczywiście nie każda informacja jest widoczna dla wszystkich użytkowników.

Wśród znajomych można przeprowadzić selekcje, dzieląc ich na bliższych, dalszych, krewnych itp., jednocześnie wyznaczając zakres informacji, do którego dane grupy będą miały dostęp. *Facebook* oferuje także zakładanie grup prywatnych bądź tajnych, do których zaprasza się tylko wybrane osoby. To doskonałe narzędzie do promowania kategoryzacji. Takie grupy zrzeszają często uczniów jednej szkoły czy klasy, studentów z jednego roku czy pracowników danego działu czy przyjaciół z drużyny. To miejsce wymieniańia nie tylko informacji, ale też wylewania żalów na nie lubianych towarzyszy i wylęgarnia plotek. Na portalu można także tworzyć wydarzenia i zapraszać na nie wybranych gości, oczywiście.

W razie problemów wszelkiego typu *Facebook* także jest pomocny. Można znaleźć cytaty na każdy dzień, coś na poprawę humoru i złe samopoczucie. Zastępuje także wróżkę, przepowiadając wiek wzięcia ślubu, urodzenia dziecka, imię przyszłego męża/żony. Może być również stylistką, podpowiada nie tylko, jaki kolor i fason ubrań wybrać, doradza także przy dopasowaniu butów czy nowej fryzury. Niepodważalnym potwierdzeniem jego zasięgu i mocy jest powoływanie się na dane z portalu przez największe stacje telewizyjne w trakcie wiadomości czy w poważnych programach publicystycznych. Liczba internautów popierających różne akcje stanowi niepodważalny dowód istotności danej kwestii w życiu publicznym. Natomiast dla gwiazd i gwiazdeczek

show biznesu ilość fanów na fejsie jest wyznacznikiem popularności, a także statusu. Ponadto, większość sklepów czy firm w ramach promocji woli zdobywać klientów za pośrednictwem internetu, zamiast kampanii reklamowych w realnym świecie.

Wszystko jest dla ludzi, ale chyba czas przypomnieć sobie teorie złotego środka i zachować umiar we wnikaniu w świat wirtualny. Portal oznacza bramę, ale nie wiadomo, dokąd nas ona prowadzi. Czy nowy wspaniały świat po drugiej stronie jest spełnieniem wszelkich marzeń? Korzystanie z dobrodziejstw internetu z głową, może dać wiele pozytywnych efektów. Jednak jeśli stracimy głowę, zatracając się w wirtualnych relacjach, to możemy zaniedbać te rzeczywiste, które są bezcenne i znacznie dłużej i trudniej się buduje. Z pewnością w chwili obecnej *Facebook* jest najpopularniejszym z portali społecznościowych. Nie przyznawajmy mu jednak palmy pierwszeństwa w codziennym życiu ani hierarchii potrzeb czy wartości, bo z pewnością są sprawy ważniejsze. Ustawmy nie tylko skuteczny program antywirusowy, chroniący przed atakami złośliwego oprogramowania, ale także własny wewnętrzny filtr, który zabezpieczy nas przed zalewem głupoty, praniem mózgu i bezrefleksyjnym przyjmowaniem stanu zastanego jako właściwy. Włączmy myślenie! Wówczas ani palma, ani woda sodowa nam do głowy nie uderzy.

KD

INSTYNKT

Joanna
Fedorczyk

Agata
Milanowska



➤ Agata

Słoneczny dzień, zatłoczone Śródmieście Warszawy, rondo de'Gaulle'a, słysząc klaksony i warkot silników, dwie dziewczyny w wiosennych płaszczach przeglądają się w sklepowych wystawach, czekając na przystanku na autobus...

➤ Joanna

Pamiętasz, jak Rajkowska stawiała tę palmę? To całe zamieszanie wokół, te protesty i głosy oburzenia?

➤ Agata

Pamiętam, wszyscy mówili, że to głupota i palma w Warszawie to ogromna ekstrawagancja.

➤ Joanna

No tak, a teraz wryła się nam w świadomość, jakby była pierwszą lepszą sosną, ale parafrazując: wszystko nim stanie się łatwe, jest trudne – wszystko co nowe nim stanie się zwykłe, budzi zainteresowanie.

➤ Agata

Teraz nikt na nią nie zwraca uwagi, takie nic stoi to stoi i tyle... tak sobie myślę dużo jest filmów, które podobnie na początku wzbudzały emocje, wywoływały kontrowersje, a teraz są zapisane w historii kinematografii, ale nikogo już, aż tak nie oburzają, no nie?

➤ Joanna

Racja, np. ten słynny skandal z nieobecnością majtek u Sharon Stone w *Nagim instynkcie*. Strasznie dużo szumu wokół tej sceny, a na mnie to kompletnie nie robi wrażenia, pomijając fakt, że niczego niestosownego się tam nie dopatrzyłam.

➤ **Agata**

Typowy człowiek naszych czasów – nic go już nie dziwi, jeśli mowa o seksie w kinie, a gdyby spojrzeć głębiej, to ten film, jak kilka podobnych, łamał tabu, przekraczał granice. Jak nasza palma, gdy powstawał był nowy, inny.

➤ **Joanna**

To ja już wolę palmę od *Nagiego instynktu*, nic mnie w tym filmie nie rusza.

➤ **Agata**

Jakaś ty nieczuła i beznamiętna, a mnie ten film bardzo się podobał: wartka akcja, ciekawi aktorzy, dobre zdjęcia i muzyka, fajny dreszczowiec, naprawdę byłam ciekawa, jak potoczą się losy bohaterów.

➤ **Joanna**

Zdjęcia? Serio? Jestem wyczulona na tym punkcie, zapamiętuję takie rzeczy, choćby ogólne wrażenie, a z tego filmu pamiętam jedynie jakąś taką desaturację, szarawość, ostre światło przy przesłuchaniu oraz smutną twarz Douglasa. Naprawdę widziałam ciekawsze filmy.

➤ **Agata**

Jasne, że były ciekawsze, ale ten też ma atuty, na przykład zdjęcia scen erotycznych, są seksowne, a czasem naturalistyczne i bezpardonowe. To ma być dreszczowiec: musi być szaro, buro, ponuro to buduje atmosferę. Idealnie by pojawił się kolejny trup i kolejny...

➤ **Joanna**

No, ale to przecież normalne w kinie, że buduje się nastrój obrazem, światłem, tyle że tutaj nie jest to nic wysmakowanego czy porywającego, a skoro już zwracasz uwagę na zdjęcia, to czegoś takiego oczekuję. Niech to będzie brudne i szare, ale niech mnie ruszy, a nie znudzi.

➤ **Agata**

Ja weszłam w ten klimat i dałam się porwać historii, a od filmów wymagam – albo od razu niech mnie wciągnie, albo w ogóle. Co do zdjęć fajne były te, które ukazywały zabójstwa kolejnych osób i ich sprawczynie, ale ukrywały twarze.

➤ **Joanna**

Nic nowatorskiego, sztuczka stara jak kino.

➤ **Agata**

A zawsze musi być nowatorsko? Tutaj brawa dla twórców, oglądając film, przestałam zwracać uwagę na zdjęcia, a pochłonęła mnie historia, czekałam i myślałam: kto zabił? Ty od razu wiedziałaś? To miał być prosty, wciągający film na deszczowy wieczór.



↘ Joanna

Nie wiem, jakoś nużył mnie ten film. Lubię jak historia mnie ponosi i siedzę wpatrzona w ekran, wbijając paznokcie w ręce, wystarcza mi wtedy klimat i napięcie..., oglądając *Nagi instynkt* siedziałam sobie wygodnie w fotelu i zastanawiałam się, kiedy się skończy.

↘ Agata

Ja siedziałam zafascynowana! Nie doceniasz tego filmu, a przecież jego twórcy tyle zrobili, by cię zaskoczyć: raz morderstwo, raz ostry flirt, raz ostry seks plus jedno pytanie kołaczące się po głowie: zabiła czy nie? Nie dałaś im żadnej szansy... A osławione mocne sceny erotyczne w tamtych czasach były jak ten żółty samochód stojący koło nas, wśród mało wyróżniających się szarych aut.

↘ Joanna

To chyba był okres wysypu takich filmów: *9 i pół tygodnia*, *Niemoralna propozycja* itd.? Może masz rację, może jestem za bardzo uprzedzona...

Nie lubię takich filmów, które wszyscy uważają za genialne, bo mam wobec nich zbyt duże oczekiwania, skoro coś wywołało skandal i jest teraz już kultowe, to chciałabym, żeby mnie ruszało mimo tego, że standardy się zmieniają, a wszelkie tabu zostaje złamane. Może zbyt wiele oczekuję...

↘ Agata

To co oni mieli pokazać w tych scenach erotycznych? Seks jest bardzo chwytliwy. Tutaj jest go dużo, naturalizm to podstawowa konwencja.

I teraz pytanie czy naprawdę było to potrzebne czy nie? Czy coś więcej znaczy?

↘ Joanna

Matko, a Ty tylko o tych scenach erotycznych... są inne, bardziej pod tym względem kontrowersyjne filmy z tego okresu, choćby *Harry Angel*...

Ja bym wolała, żeby wciągnęła mnie intryga, zagadka, a nie ta cała pościelówka.

↘ Agata

Wychodzę na filmowego seksoholika... Popatrz pierwszy raz w kinie tak odważne sceny, mnie to zaskoczyło i dodało czegoś temu filmowi. Twórcy chcieli, by widz na ten pomysł się złapał i mnie upolowali. Co do zagadki ten film bawi się z widzami, raz

widzisz Catherine (Sharon Stone), która rozmawiając bez najmniejszego problemu rozbija łód szpikulcem do lodu, a przecież to właśnie od ciosów zadanych tym narzędziem umierają kolejne ofiary zbrodni, z drugiej strony widzisz jak płacze, jest bezbronna po stracie kochanki-przyjaciółki. No i sam koniec, zbliżenie na szpikulec pod łóżkiem, nie wciągnęło cię to? Nie myślałaś czy zabiła, czy nie? Powtarzam się, ale to pytanie towarzyszyło mi przez cały film.

➤ Joanna

Ja miałam raczej wrażenie, że sami twórcy nie wiedzą kto zabił.

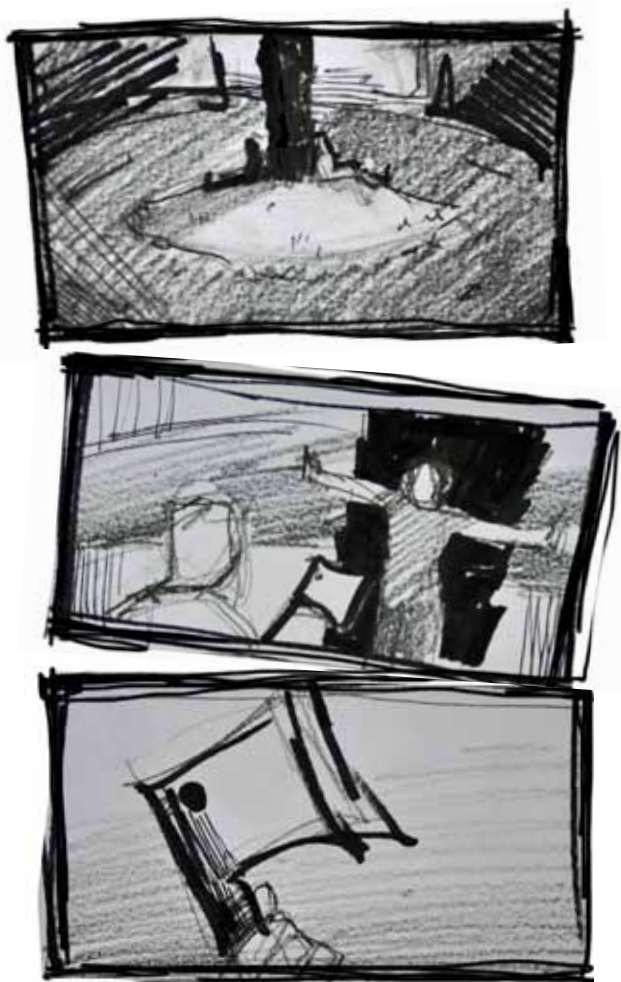
➤ Agata

Ten film jest niejasny, bo chce bawić się z widzem, nie miałaś ochoty wejść do labiryntu i poczuć, że nie wiesz co znajdziesz za rogiem? W końcu za przewodniczkę miałaś Catherine – seksowną, silną, dominującą kobietę, świetnie zagrana przez Sharon Stone.

➤ Joanna

Ech, jakieś to naciągane wszystko, wolę już pocziwiałą palmę...

W końcu nadjechał wyczekiwany, mało kontrowersyjny autobus.



Krótko na temat: *Nagi instynkt* – film Paula Verhoevena, mający swoją premierę w 1992 r. Główne role zagrali: Sharon Stone i Michael Douglas. Film zdobył 2 nominacje do Oskara: najlepsza muzyka i montaż oraz kilka nominacji do Złotych Malin. Zmysłowy, wciągający czy nudny, sztamkowy film – oto jest pytanie.

Paweł Maksym

Panie, a „po czemu” ten Kosmos?

Czy wobec wielkości Wszechświata, którego częścią jesteśmy, możemy mówić o jego zawłaszczeniu czy komercjalizacji? Jak mały człowiek chce opanować Kosmos i mieć w nim palmę pierwszeństwa?

Wśród ponad 100 miliardów gwiazd galaktyki spiralnej z poprzeczką, jest jedna zupełnie niepozorna gwiazda. Krąży wokół niej wiele ciał. Jedno z nich, typowy planetarny przeciętniak, nosi na sobie życie. Efemerydę w postaci setek milionów gatunków flory i fauny zdominowanych przez jeden – człowieka.

Tworzący wiele kultur, poruszający się na dwóch kończynach, zdolny do uczuć i myślenia abstrakcyjnego gatunek – nazwał sam siebie w niezwykle dumny sposób – *Homo sapiens*. Już sama ta nazwa kryje w sobie bardzo ważną informację o nas! Nazwaliśmy siebie rozumnymi... I w tym duchu rozwijamy całą naszą

cywilizację. Mimo iż czas Kopernika, i rozpoczęta przezeń rewolucja naukowa, zainicjowały nasz powolny odwrót od egocentryzmu, to jednak nie sposób ludzkości wyzbyć się patrzenia na świat poprzez soczewkę, w której centrum znajduje się człowiek. To wydaje się być naturalne, zgodne z zasadami przyrodniczymi – dążymy do przetrwania jednocześnie dominując na świecie. Zapominamy jednak, że jesteśmy tylko pyłem w wielkim Kosmosie.

W codzienności umyka nam fakt, że Wszechświat, jako największy ze zbiorów, nie jest nasz, ale my go tworzymy i tu, na Ziemi. Sami zapominamy o tym, mówiąc na przykład, że „rakieta poleciała w Kosmos...” – a przecież Ziemia wraz z nami, też jest jego integralnym, mikroelementem! Kosmos jest w naszych żołądkach. Pamiętajmy, że pierwiastki – budulce życia nie powstają ot, tak sobie, a są efektem



życia gwiazdy, powstają w wyniku jej wewnętrznych przemian i gwałtownej śmierci. Węgiel, złoto, platyna... toż w miejscu gdzie dzisiaj jest Słońce istniała kiedyś inna gwiazda. W wyniku jej rozpadu powstał obłok materii dający życie każdemu z nas! Każdy z nas nosi w sobie produkty powstałe podczas śmierci gwiazdy!

Jak wobec tego zapatrywać się na zakusy człowieka – jako gatunku – co do przywłaszczenia sobie Kosmosu. Jeśli spojrzymy na to przez pryzmat urynkowania usług związanych z lotami na orbitę i łatwym dostępem do technologii astronautycznej to tak – stoimy na progu tego dziejowego kroku. Uczynimy go już za chwilę. Komercjalizację postrzegać można również jako występowanie elementów związanych z obrazami dalekiego Wszechświata funkcjonującymi w kulturze i sztuce. Tutaj nie ma wątpliwości – obrazy te żyją z nami na co dzień. Często tak nam

spowszedniały, że już ich nie zauważamy. Jednak galaktyki, planety, gromady gwiazd czy mgławice pojawiają się w reklamach, kreskówkach, na plakatach, afiszach, w gazetach i internecie czy to jako fragmenty większych dzieł sztuki, czy jako elementy kampanii reklamowych. Komercjalizacja może być rozpatrywana jako upowszechnienie się technologii pierwotnie opracowanych na potrzeby przemysłu astronautycznego czy technologii związanej z astronomiczną aparaturą badawczą.

Technologie te są wszechobecne!

Każdy kto na co dzień nie pasjonuje się astronomią czy astronautyką,

patrząc tylko by nie potknąć się w biegu codzienności, choć raz zadał sobie pytanie – po co „ci naukowcy” wydają miliardy dolarów na badania Wszechświata? Odpowiedzi jest wiele. Najbardziej podstawową jest ta, którą sam kiedyś na podobne pytanie dał Albert Einstein: badania Wszechświata – astronomia, astrofizyka – są jedynymi, które w przyszłości mogą przynieść nam odpowiedź na, najważniejsze pytanie ludzkości – skąd jesteśmy, dokąd zmierzamy i jaka czeka nas przyszłość? Jednak dla najbardziej zatwardziałych przeciwników wydawania pieniędzy na badania Kosmosu ta odpowiedź jest nie wystarczająca. Często pada komentarz, że taka odpowiedź to unik i przykrywka do wydawania na marne wielkich pieniędzy...

Zazwyczaj mówiący to posiadają przy sobie telefon komórkowy, pewnie ubrani są w garnitur lub przynajmniej kurtkę z włóknami teflonowymi w składzie, w swojej lodówce żywność trzymają w poliwęglanowych pojemnikach, a w swoim samochodzie posiadają urządzenie nawigacyjne systemu GPS, internet przeglądają za pomocą tabletów, a zdjęcia robią aparatem cyfrowym.

I tu zaczyna się prawdziwa dyskusja, gdy zapytamy czy wiedzą jak te wszystkie technologie powstały, kto ich pierwotnie używał, jak trafiły

do użytku komercyjnego? Nagle oczy zaczynają się szeroko otwierać, a pytania idą w niepamięć... Prawda jest oczywista. Cała nowoczesna technologia i wiele elementów świata, który nas otacza i, które zdążyły nam spowszednieć, swoje źródło ma w badaniach Kosmosu czy astronautyce! To astronomia z astronautyką mają palmę pierwszeństwa w tym względzie. To najczęściej potrzeby astronomów pobudzają inżynierów do opracowywania coraz to nowych technologii analizowania obrazu, zapisu danych, wizualizacji danych, materiałów odpornych na ekstremalne warunki itp.

W każdym sklepie kupujemy naukę! Tak każda suma wydana na badania Wszechświata wraca do nas kilka razy. Jednak komercjalizacja Wszechświata jako zbioru obejmującego wszystko – wszechzbioru, zbioru totalnego jest możliwa jedynie w naszej małej, zrozumiątej i naturalnie dzikiej natury gatunku – jednego z wielu zamieszkujących Wszechświat!

PM

TO JEST SZTUKA

Katarzyna Bogucka

Sztuka głowi się i trudzi
Jak urządzić urodziny
Jak usadzić swoich krewnych
By znów się nie pokłócili

Sztuka dużą ma rodzinę
I do tego wyjątkową
Nikt nikogo nie chce słuchać
A bez siebie żyć nie mogą

Ciotka trąbi, dziadek zgrzyta
Kuzyn barwy poszukuje
Jest i taki co dzień cały
Kocie dźwięki naśladuje

Wszyscy w zamku się zebrali
Każdy swoje dalej robi
Sztuka dwoi się i troi
By rodzinę swą pogodzić

Ciotka trąbi, dziadek zgrzyta
Kuzyn barwy poszukuje
Jest i taki co dzień cały
Kocie dźwięki naśladuje

Aż tu nagle z tego gwaru
Nowe dzieło się stworzyło
Sztuka kielich wzniosła w górę
I krzyknęła: to jest TEATR!

Wszyscy bardzo się zdziwili
Bo stworzyli dzieło razem
Nadal każdy robi swoje
Ale z sercem i rozwagą

Ciotka trąbi na trzy cztery
Dziadek zgrzyta na dwa pa
Kuzyn scenę pomalował
Śpiewak miauczy miau miau miau



